

BRACIA

TADEUSZ PASIKOWSKI

Zdawało się, że spór Józefa Grudy z Michałem Wicherekiem wnieśli tylko powiem pewnej sensacji w monotone życie Kłebowa. Stało się jednak inaczej — spór wzburzył całą gromadę i uwypuklił jej klasowy podział. Wszyscy to, co w Kłebowie nurtowało dotychczas pod pozorem spokojnej powierchni codziennego życia, co było ledwo wyczuwalne — wypłynęło nagle niby oliwa na wierzch i ukazało się chłopom w aż nadto wyraźnych i zrozumiałych kształtach.

Poszło o tuczniki. Rok przeszło temu, u schyłku skwarnej lata, Józefa Grudę spotkał dotkliwy cios. W pewien upalny dzień słoneczny spaliła mu się chałupa. Po prawdziwie stara to była chałupa — niska i zapadnięta, pochylona od starości, stoczona przez grzyb i pleśń, ciśnie i nieprzytulna. Gruda sam chciał ją zburzyć, by na jej miejscu wzniesł solidny murowanec pokryty dachówką. Grudę stać było na taki wydatek. Odkąd ożenił się, w życiu jego dokonał się radostny przełom. Do szczytów ojcowizny, liczącej niespełna cztery hektary, żona wniosła mu dwaście morgów dobrego gruntu, krowę, dwie świnię i zdrowe, chętne do roboty dlonie. A powojenne czasy wcale nie były tak złe, jak oceniali je co bogatsi gospodarze we wsi. Gruda dorabiał się, wybudował nową stodołę, otoczył sad parkanem, poszerzył swe gospodarstwo.

Kiedy więc chałupa stała w płomieniach, cały swój wysiłek skierował na ratowanie wypełnionej planami stodoły, na utrzymanie stajni, chlewów i obory. Dopomagał mu w tym sąsiadzi. Z pałacej się chałupy zdolano wynieść trochę gratów, pościeli i część odzieży — reszta jednak poszła z dmem. Mimo wszystko straty były znaczne.

Gdy dogasyła ostatnie płomiki na pogorzelisku — Gruda ułokował rodzinę w stodołę i fuknął na lamentującą żonę:

— Biekiem nic tu nie poradzisz. Trza wziąć się osro do roboty i nie czekać na boskie zmiłowanie. Jak sobie sami chałupy nie postawimy to jej mieć nie będziemy.

Słuchając więc Józef w garść i harował jak kon. Aby zebrać potrzebne na utwór, odstawił przed terminem posiadany zapas zboża i zakonał traktowane buraki. Sprzedał jedną z dwu krow, dwie owce i trzy popiesznie dotuczone świnię. Grudzi ograniczyła wydatki domowe i każde jajko, każda kłepka masła, górniki sera — wiozła na najbliższy targ.

Z wydatną pomocą przysłała pogorzelcowi gmina, ułatwiając mu zdobycie w banku pożyczki. Gdy spadły śniegi, Gruda wozłł saniami drzewo z tartaku na stację i towary z miast dla Gminnej Spółdzielni, czas jakiś pracował w kochmalni i cukrowni.

Wiosną — gdy do Kłebowa wróciły jaskółki i bociany, gdy w gaju nad strugą brzezinowe bazyli pokryły złoty pył — Gruda zaczął stawiać nowy dom.

Pewnego dnia w grudowej zagrodzie zjawił się Wicherek. Był to rosły, starszy już chłop o rumianej twarzy, zwieszających się wąsikach i bystrzych, latających oczach. Nosił kurtkę z futrzanym kołnierzem i welwetowe spodnie wpuśzone w wysokie, wygłansowane buty. Zielony kapeluszy filcowy z myśliwskim pedzelkiem — upodobał go do gajowego.

Wicherek rozejrzał się po obejściu zerknął do chlewa i bory, przyjrzał się sławianym właśnie fundamentom i ruszył do stodoły, gdzie biwakowała rodzina Grudy. Pochwalił Pana Boga, pogadał o sprawach drobnych i zwracając się w końcu do gospodarza zaczął:

— Ja do was sąsiedzie z interesem.

Gruda spojrzawszy na pytającym oczyma.

— Prosiat wam nie trzeba?

Chłop uśmiechnął się.

— Bogać ta nie trzeba — pewnie, że trzeba.

— Mogę wam odstąpić perke — zaproponował Wicherek. — Zdrowe i mocne. Okazja.

Gruda podrapał się w zmierzwiłona czupryne.

— Tak to się mówi — okazja, ale chyba nie kupię. Buduję — wskazał oczyma na stos cegieł stojący opodal. Pieniądze są mi potrzebne i ciągle ich mało —.

— O zapłatę nie chodzi — zauważył, cedząc słowa Wicherek. — Możemy sprawę inaczej załatwić. I wy będziecie zadowoleni, i ja.

— Niby jak? — zainteresował się Gruda.

— Cakim prosto. Dam wam trzyprosiaki. Dwa będą wasze, a jeden — mój. Przy waszych dwu odchowa się mój trzeci. Jak dorosnie do tuczu przdam wam drugo i kartofli ile będzie trzeba. Ale na jesień wasze tuczniki sprzedacie tylko mnie. Zapłacę więcej niż wy wam dali na skupie i nic nie potrącę. Po prostu dwie świnię za wychówek trzej.

Gruda milczał i zaferował. Znać było, że wazy w myślach dziwną propozycję.

— Możecie mi wierzyć — dodał Wicherek — że we wsi nie ma chłopca, który by nie przysłał na tak korzystny układ. Zasedział

wpierw do was, boście gospodarz tegi i uczciwy, zaufać wam można, no i co tu gadać — jesteście w potrzebie, chcę wam pomóc.

— Bardzo to ładnie, ale trza wykażulować — odezwał się Gruda. — Świnia zre dużo, a paszy mi brak.

— Co tu chcecie każulować — sprzeciwił się Wicherek — Interes jest czysty jak lza. Znaćcie mnie przecież dobrze — powiedzcie sami — nabrał kogo Wicherek? Oszukał? Niechcie mnie piorun spali, jeśli kogo ukrzywdził. Małom to ludziom pomagał, gdy siedział w gościnu? Nie pomogłem i wam?

— Nikt nie mówi, żeście nie pomogli. A co do tych prosiat — czy ja wiem? Zdaloby się poradzić.

Rozmowa trwała długo, lecz wreszcie skończyła się przybitciem dloni. W myśl umowy ustalenie ceny pozostawiono na czas jesieni. Tego samego jeszcze dnia inwentarz Grudy powiększył się o trzy parolugodniowe prosiaczki.

W codziennej pracy miały dał.

Krótko po śianokosach nowy dom Józefa Grudy mógł już przyjąć lokatorów. Nie wszystko było w nim wykonane. Pomijając nieotynkowane mury, wnetrze raziło surowizną ścian, brakiem pieców i drzwi prowadzące na pięterko nie posiadały poręczy, a w górnych izbach brakowało ram okiennych i podłóg. Mimo to dzień wprowadzki był dla Grudów uroczystym świętem. Dawny prymityw ustąpił miejsca szerokiej przestrzeni i zdrowej wygodzie. W widnych izbach trochę było pusto, lecz za to wesoło.

Powoli zrecznie dlonie Grudzi wprowadzili ład do wnętrza, a drobne ozdoby dawały mu uroku. W oknach pojawiły się firanki, na ścianach — kolorowe obrazki wycięte z „Gromady”.

Tego lata do Kłebowa trafił prad. Po wsi uwilił się elektryczność, przybył z miast, a chłopci przygładali się, z jaką zrecznoscia młodzi chłopcy w niebieskich kombinizonach wdopywali się na wysokie maszty, sterujące wśród pól. Robota paliła im się w rekach, ale radość była patrzeć. Wieczorem ich radosne piosenki wywabiały młodzież z chat.

Ledwo wyjechali — do wsi trafili brukarze, wlokąc ze sobą potężne maszyny do tłuczenia kamieni, wielkie piece, w których warzyła się smoła zmieszana z grysem. Sapiąc przyciągnęli do Kłebowa ciężkie walce do ubijania nawierzchni szos.



Strasnie było wówczas w gromadzie. Zerwany bruk głównej ulicy przypominał koryto płytke, wyschłej rzeki. Z obu jego stron piętrzyły się stosy bazaltowych kostek i kopce płoego piasku. Ale po kilku tygodniach trudno było poznać Kłebowo. Tam, gdzie dawniej zapadały się koła wozów w wyrwach i wybojach — ciągnęła się gładka, wykładana kostką droga, łącząca się na krawędziach gromady z wstęgą smolowanej szosy.

Niepostrzeżenie minęło lato. Świat tonął jeszcze w blaskach ciepłych promieni, ale ranki były chłodne, wystrzebrane szronem, spowite tępym mgielem. Obok zaoranych pól widać nać na zbuntowanych kartoflikach, znikło kwiecie z poszarzałymi łak. Korony drzew i krzewów pyszniły się bogactwem barw i dojrzałych owoców. We wsi warczyły młokarnie.

W taki to czas przyjechał do Kłebowa młodszy brat Józefa Grudy — Franeek.

Przybył z dalekiego, gwarnejo miast, najeżonego kominami licznych fabryk, pomrukującego lo-

skiem stalowych potworów — miasta, do którego zagnał go los piętnaście lat temu. Dla młodego Franka zabrakło wtedy miejsca i chleba w rodzinnej chałupie. Ruszył więc w świat po pracę i szczęście. Szukał go przez długie lata między i harówkami. Poznał ten świat — świat kontrastów i sprzeczności. Rozwinięty zluźnił i hołesnych — rozczarował. Poznał kamienne miasta i ludzi o kamiennych sercach. Lecz wśród ciemnych i brudnych hal fabrycznych, na zaniedbanych przedmieściach, w wilgotnych suterenach, w norach i na poddaszach, w słoczonych izbach, w długich kolejkach przed urzędami pracy — odnajdywał takich samych jak on niedarzy. Łatwo było z nimi rozmawiać, jeszcze łatwiej porozumieć. I Franeek przysłał do nich.

W pewien styczniowy dzień odmieniło się życie Franka. Odmieniło się dla wszystkich, którym los nie szczędził krzywd. Zza chmur wjrzała purpurowa tarcza słońca. Od tego dnia Franeek zaczął żyć.

W ciągu długich lat nie zaglądał do swoich. Nie mógł. A tymczasem zmiało się starym Grudom. Gospodarstwo przejął Józef. Zgłnął w walkach partyzanckich najmłodszy Ignac. Maryśka poszła na służbę do miasta i tam znalazła własny dom. Stacha wyszła za mąż za kowala z sąsiedniej wsi.

— Ileż to zmian! Ile nowości! — Franeek nie mógł nadziwić się przeobrażeniom, spoglądając na rodzinne Kłebowo. A Józef z dumą pokazywał bratu pachnący dom, jasne izby, żarówki pod sufitem, szmierzak głośnie na ścianie, oprowadzał go po obejściu, szczylił się nową stodołą i z zżwieniem mówił o swych dalszych planach.

Ktoregoś dnia pod wieczór do mieszkań Grudy zaszedł Wicherek. Przysłał się z Józefem, rzucił kilka dowodów krzątańcej się gospodyni, a ujrzawszy obcego młodego Franka jak gdyby zmieszal się.

— Goście widze macie — zauważył — Nie będę przeszkadzać. Przyjdź kiedy indziej.

— A co — nie poznaliście Franka? — zapytał Gruda. — Toć to mój brat. Pamiętacie go chyba jako chłopaka?

Wicherek przypomniał sobie. Rozpłynął się od razu w serdecznościach, poklepał Franka protekcyjnie po ramieniu i zapytał jak mu się powodzi. Nie czekając odpowiedzi zaczął bledać nad

— Jaki on tam spekulant! — Józef machnął lekceważaco dlonią.

— Wy ludzie miastowi to wszędzie tylko wrogów wietrzyście. Trudno was czasem zrozumieć.

— Nie masz racji — nie wietrzył wrogów, jesteście tylko czujni — przerwał Franeek. — Ty tego nie rozumiesz bo widzisz tylko siebie i swoje gospodarstwo, widzisz jeszcze Kłebowo, ale nie poza nim. A kraj nasz jest wielki i wiele w nim się dzieje. Kłebowo to tylko mały na nim punkt, lecz i do tego punktu dołarły zmiany, o których kiedyś wszyscyśmy marzyli. Przypomnij tylko sobie, jak żyliśmy w naszej wiosce przed piętnastu laty. W rozwalającej się ruderze, o chłodzie, głodzie i po ciemku. Jakie straszne były dla nas długie wieczory, gdy matka, szedząc naftę, gnała nas do łóżek. Przypomnij sobie naszą biedę podarte portki ścigające postronkiem, rozciapane buty chowane na zime, bójkę o kartofle siekane dla świni, wspomóżki za groszaki skrzętnie oddawane matce...

Odsapnął na chwilę. Nerwowym ruchem odgarnął kosmyk włosów onadajacy mu na czoło i mówił dalej:

— Skończyły się te czasy, czy nie? Powiedz, kiedy postawiliście stodołę i dom, kiedy założono ci w chałupie prąd i radio, od kiedy to czytasz gazetę, rabiesz z rodziną mięso na obiad, słodzisz kawę, nie liczysz groszaków... I powiedz kiedy założono w Kłebowie świetlicę z biblioteką, przedszkole dla chłopskich dzieci, Gminna Spółdzielnia, w której nikt ci nie okpi? Po wojnie — prawda? Wtedy już, gdy prosty lud w Polsce i przegnał tych, co to tuczyli się naszą chłopsko-robotniczą krzywdą! A władza ludowa — to my!

— Franeek grzmotnął się pięścią w pierś — ty — chłop, ja — robotnik, a poza tym profesor i kolejarz, inżynier i nauczycielka — wszyscy uczciwie pracujący ludzie, myślicy nie tylko o sobie, lecz przede wszystkim o kraju i narodzie. Przypnijcie, że tak jest

— Zapłacę teraz — powiedział — a jutro przyjadę po swinię.

I wówczas odezwał się milczący dotychczas Franeek:

— Po co się spieszyć. Nie pali się. A nuż w nocy złodziej wykradnie tuczniki — zażartował.

— Racja — zgodził się nabywca. — Zapłacę przy odbiorze. Tak będzie lepiej — i Wicherek popiesznie wsunął portfel do kieszeni.

— Józef obrzucił brata zdziwionym spojrzeniem, lecz nic nie powiedział.

Gdy Wicherek odszedł, Franeek zapytał brata:

— Któż to właściwie jest — ten typ?

— Nie poznajesz go? Dawny gościnny, do którego tyłe razy biegales po machorkę dla ojca, po naftę, sól, zapalki dla matki. Obok szafki prowadził sklep z różnymi towarami oraz rzeźnictwo. Miał nawet pokoje dla przyjezdnych —

— Masz rację — i dlatego ja i tysiące robotników budujemy nowe miasta, fabryki, domy, mosty, dobywamy węgiel i sól, pracujemy w hutach, portach i Bóg wie gdzie jeszcze; ty — mój brat i tysiące ciebie podobnych chłopów, będących również braćmi robotników — orzecie ziemię, hodujecie bydło i świnię, zbieracie plony z pól i sadów, by nikt w Polsce nie cierpiał głodu, by pracujący byli syty. Nasz żołnierz pilnuje, by nikt nam w tej pracy nie przeszkadzał. Jedni więc wspierają drugich i jedni drugim są potrzebni. Gdyby było inaczej, w Polsce działoby się źle.

— Jużi — mruknął Józef.

— No i powiedz teraz, co daje narodowi Wicherek? Ani on orze, ani sieje, a przecie zbiera i ty mu w tym zbieraniu pomagasz. Ot — kupuje twoje tuczniki, daje ci więcej niż ci dać może rząd, lecz ten nadatek wcale nie pochodzi z jego kieszeni, tylko z mojej.

— Jaki, z twojej? — oburzył się Gruda.

— To sprawa prosta — zaczął wyjaśniać Franeek. — Takich jak ty, sprzedających swinię na lewo, jest niestety więcej. A nam, ludziom z miast i fabryk, tych właśnie tuczników sprzedanych spekulantom bardzo brakuje. Mamy trudności, o których kiedyś ci jeszcze opowiem. Gdy niewiele jest do podziału — Wicherek wiezie tuczniki do miasta, pochodzi, poszepce i znajduje tysiąc dróg do ludzi słabych i nieświadomych. Drze z nich skórę bez miłosierdzia. Paskarz kusi jak diabeł, jest chytry jak lis i potrafi okpić wielu. Nawet moja Władka dała się nabrać. W taki to sposób moje ciężko zapracowane pieniądze znalazły się w jego kieszeni. Rozumiesz mnie teraz?

— Rozumiem — odpowiedział Gruda — Wicherkowi jednak tuczniki odsprzedam. Pomógł mi w potrzebie, omówiliśmy warunki już wiosną. Inaczej postąpić nie moge.

I Józef powiedział bratu w jaki sposób doszło do zawarcia umowy.

— Pomógł i nie pomógł — odparował Franeek. — Chytra bestia z tego Wichera — sobie pomógł. Pomógł tylko, kto ci naprawdę pomagał! Kto udzielił ci pożyczki na budowę domu, kto dostarczył nasion i nawozów na kredyt, kto dba o zdrowie twoich dzieci, wypłaca premie za odstawę zboża, kto udzielił ci ulg podatkowych — Wicherek, czy może Rząd? Komu winienesz większy dług i wdzięczność — Wicherkowi, czy Rządowi?

Franeek długo rozwodził się na temat potrzeby wywiązywania się z obowiązków w stosunku do Państwa i o konieczności pomagania Rządowi, aż wreszcie chłód wieczorny zagnał braci do izby. Tej nocy Józef nie mógł usnąć. Różne myśli legły mu w mózgu, przetrawiał uwagi Franka, kłął zawarty układ z Wicherkiem i wazył postanowienia. Usnął wreszcie zły i zmęczony.

Następnego dnia Gruda niespodziewanie odwiedził Wicherkowi, że wypłaci mu należność za prosiaki, lecz tuczników nie sprzeda. Jeśli gościnny chce zabrać swego swiniaka, może to uczynić — prosię bardzo.

Wicherek najpierw zdumiał się,

potem zażądał wyjaśnień, wyrażając obawę, że Gruda zwirował. Gospodarz nie kwapił się z uzasadnieniem powziętej decyzji — oświadczył tylko, że tuczniki odstawi do Gminnej Spółdzielni, a Wicherkowi zwróci tylko to, co mu jest winien. Od słowa do słowa doszło do kłótni, w czasie której były oberzysta przerzucił się od grózb do próśb, od perswazji do podnoszenia ceny za swinię. Nic to jednak nie pomogło. Gruda uparł się, a kiedy Wicherek zaczął wykrzykiwać, że go oszukano, że nie pozwoli się skrzywdzić i odda sprawę do sądu — gospodarz zniecierpliwił się i posłał go do wszystkich diabłów.

Wiesć o sporze szybko rozniosła się po wsi. Chłopi komentowali zżęcie rozmawiać i nie zawsze zgodnie z prawdą. Obie strony miały swoich sojuszników. Gruda nie obnosił swej sprawę po chałupach — oberzysta natomiast trąbił na lewo i prawo o swej krzywdzie, roniąc rzewne łzy nad ludzką niewdzięcznością.

W dwa dni później w Kłebowie odbyło się zebranie gromadzkie. W świetlicy było tego wieczoru tłoczno. Razem z chłopami przybyły również kobiety i młodzież. Na sali znaleźli się także obaj przeciwnicy.

Radzono nad sprawą uchylania się niektórych gospodarzy od wykonywania zobowiązań wobec państwa. Ze sprawozdania sołtysa wynikało, że najzamożniejsi rolnicy w gromadzie zalegali z odstawą nadwyżek zbożowych oraz spłacaniem rat podatku gruntowego i FOR-u. W Kłebowie ponadto kulała kontraktacja trzody, na spód wieziono znikome ilości świń.

Obrazy miały przebieg spokojny. Przemawiali głównie bogatsi gospodarze, narzekając na trudności i kłopoty, stwierdzając, że nałożone na gromadę plany są zbyt rozbudowane i dlatego niewykonalne. Dopiero wystąpienie Grudy rozprętało burzę. Rzucił on proste pytanie — dlaczego tylko średniacy i biedota wywiązują się w pełni ze swych obowiązków, dlaczego zalegają najbogatsi we wsi gospodarze? A co do kontraktacji trzody w Kłebowie to sparatyzowana jest ona przez spekulantów i tak długo nie będzie poprawy, jak długo chłopci sprzedawcą będą świnię pokatnie.

Spekulantów nie brak we wsi — mówił Gruda z przekonaniem — a największym z nich jest Michał Wicherek. Tak jest — Wicherek. On to zeruje na prostocie i naiwności chłopskiej, on również tuczy się naszą pracą i potem. Tak było przed wojną i tak jest jeszcze dzisiaj. Wicherek i jemu podobni zawalają plany gromady.

I Gruda wyjął zebranym w jak chytry sposób dawny gościnny wciągnął go do swoich interesów. Wskazując na własny przykład, Gruda zwrócił się do chłopów, by zdecydowali, jak ma postąpić, by sprawiedliwość stało się zadość.

Niespodziewane wystąpienie zaskoczyło Wichera. Cios był dotkliwy, groził bowiem poderwaniem zaufania. Jakim gościnny cieszył się wśród sporej liczby gospodarzy. Trzeba było odparować atak. Wicherek natął więc z furją na przeciwnika. Nie przebiegał w środkach dążył do ośmieszenia Grudy i dyskredytowania go w oczach zebranych. Scharakteryzował go jako obłudnika i oszusta, prowokatora, którego trzeba się bać, przed którym należy ostrzegać ludzi uczciwych. Potok jego wymowy zalewał świetlicę jadem nieskrępanej wrogości i nienawiści. Gdy skończył — po czerwonej od wzburzenia twarzy spływały mu strumyczki błyszczącego potu.

Odpowiedział mu parcelant Wojciech Jaroch:

— Według mnie — zaczął — Wicherek nie jest taki święty, jak chce nam to wmówić. Cale życie grabi do siebie i tylko wypatruje, jak tu kogo oskubać. Ciasny ma chlew, więc innym prosiaki podtrzuca. Skrzywdził niedjedno — skrzywdził i mnie. Za marny dług przedwojenny jeszcze dziś odróbkę żąda, a niech mnie Bóg skarze, jeśli mu coś winien. Złodziej z niego i ty!e!

— Przestań krakać, Jaroch — przerwał mu Walek Sikora. — Długi trzeba spłacać. Na to nikt nie poradzi. Potrafiliście brać — umieć oddać. A co do tuczników, to przecie Gruda za prosiat nie płacił, więc po prawie swinię należa do Wichera. Inaczej być nie może.

— Tak jest, prawo stoi za gościnny — podtrzymał Sikora Roch Pawlenty i rozwodził się na temat konieczności dotrzymywania zobowiązań. Nie skończył jednak swych wywodów, gdyż przerwał je stary Lećle:

— Wolnego, Pawlenty — mówił cedząc słowa — gdyby tak obliczyć ile wziął Jaroch od Wichera i ile mu odda — gościnny musiałby mu dobra sumę zwrócić. Wziął z lichwą i nie wystyd mu doć cudzą krowę. Ty nam o zobowiązaniach nie śpiewaj, tylko powiedz, czy ty je regulujesz? Po-datek zapłaciłeś? Zbożes odstawić?

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wicherek najpierw zdumiał się,

Gdy maszyny zastępują chłopską pracę

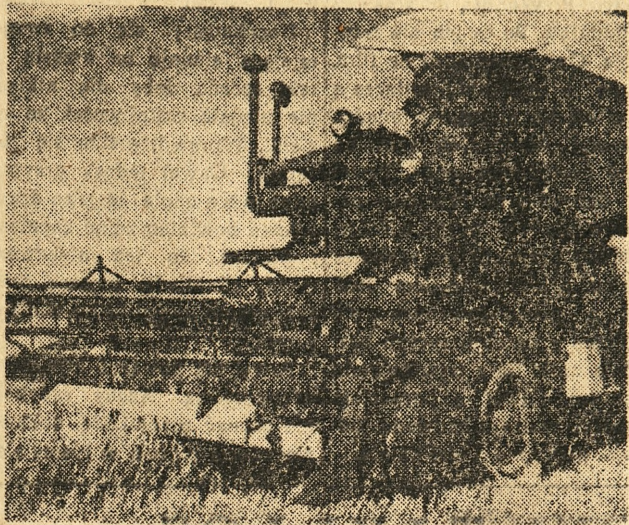
Zagadnienie mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa w Polsce Ludowej stało się jednym z czołowych zagadnień gospodarczych. Niedawne to jeszcze czasy, gdy widok traktora, jadącego z hałasem przez wieś, budził prawdziwą sensację. Przywykłym do starych form uprawy roli chłopu nie mogło się w głowie pomieścić, że ta maszyna potrafi wykonać pracę kilku par dobrych koni i że robi to znacznie lepiej. Ta nieufność odnosiła się zresztą i do innych maszyn rolniczych. Przekonano się jednak, że zaoszczędzają one wiele czasu, zdrowia, sił ludzkich i kosztów.

W okresie międzywojennym, na skutek niekorzystnych warunków na wsi, a przede wszystkim nieopłacalności produkcji rolnej, wiele milionów mało- i średniorolnych chłopów mogło tylko marzyć o posiadaniu żniwiarki, snopowiazałki, kosiarki, kartoflarki, walu Campbella, siewnika, młocarni czy brony talerzowej, nie mówiąc już o nowoczesniejszych narzędziach. A jeżeli chłop chciał zaoszczędzić sobie i rodzinie sił, pożyczając maszynę, to musiał te siły stracić na lichwiarski odrodek u bogaczy...

Dzisiaj sytuacja się zmieniła. Nie ma w Wielkopolsce gromady, gdzie nie uprawiano ziemi traktorem lub nie siano siewnikiem. W wielu elektryfikowanych już zagrodach chłopskich, kłasy poszły do lamusa, a zamiast nich napędzają młocarnie motory. Nie posiadając tej czy innej maszyny, chłop może wypożyczyć ją za uczciwą opłatą z Państwowego lub Spółdzielczego Ośrodka Maszynowego.

Mechanizacja wsi to dzisiaj nie frazes. Państwowe Ośrodki Maszynowe rozporządzają bogatymi zespołami najnowocześniejszych maszyn, pracujących na polach indywidualnych chłopów, w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, maszyn

potu musiały wydać setki robotników. Dziś te czynności wykonują dwie specjalne maszyny. Jedna kopie rowki i układa rurki (dreny), a druga szybko je zasypuje. Człowiek ogranicza się tylko do obsługi



Kombajn zbożowy produkcji radzieckiej przy pracy

tych maszyn. Setki robotniczy używano dawniej na wyrównanie dziesięciu hektarów w jednej planacji. Dziś zajeżdża na pole samojezdny kombajn liniowy i w ciągu jednego — dwóch dni len jest zebrany, powiązany i wyłócony. Oszczędność czasu i pracy olbrzymia. Omloty agregatami parowymi pożerają nam rokrocznie tysiące ton węgla. W przyszłym roku i na tym zaoszczędzimy. Państwowe Gospodarstwo Rolne sygnalizują, że następne omloty dokonywane będą przy pomocy motorów elektrycznych, do których kilometrów kable i odpowiednie urządzenia transformatorowe są już na miejscu. To samo będzie we wsiach i w spółdzielniach produkcyjnych, posiadających prąd.

Wspomniana wyżej sadzarka do ziemniaków, udoskonalona przez robotników PGR-owskich, zdolna jest wysadzić dziennie obszar 5 ha. Zastępuje więc pracę 50 ludzi. Kopaczka traktorowa do ziemniaków wykonuje tyle pracy dziennie, ile 5 znanych nam kopaczek konnych. Nowoczesna radziecka kosiarka o szerokości 6 metrów może skosić dzień 15 do 16 ha łąki, podczas gdy zwykła trze-

podniesienie dobrobytu wsi na jeszcze wyższy poziom. Podniesienie zaś dobrobytu wsi — to poważny rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych, a przez to samo podniesienie dobrobytu całego narodu. Mając to

na uwadze, dążymy do tego, że wieś polska zaoferuje i przydatna w okresie rządów kapitalistyczno-obszarniczych, pozabawiona niejednokrotnie najłatwiej dostępnych zdobyczy cywilizacji, zmienia się obecnie nie do poznania. Z siedliska krzywdy i wyzysku przeobraża się w ogromny, zmechanizowany warsztat rzetelnej pracy, w wielką fabrykę produkującą żywność.

K. Jazwiecki

CZY MOŻNA PRZEDŁUŻYĆ ŻYCIE?

Życie, starość i walka ze starością — to najważniejsze problemy, nad którymi już od dłuższego czasu zastanawiają się uczeni wielu krajów. Jednak tylko w Związku Radzieckim po raz pierwszy w historii stworzono warunki dla teoretycznego i praktycznego rozwiązania zagadnienia przedłużenia życia ludzkiego.

Filozofia materialistyczna jest potężnym orężem w walce o poznanie przyrody i jej praw. Celem przeobrażenia jej stosownie do potrzeb ludzkich i zapewnienia człowiekowi pracy szczęśliwego życia, a przede wszystkim przedłużenia go.

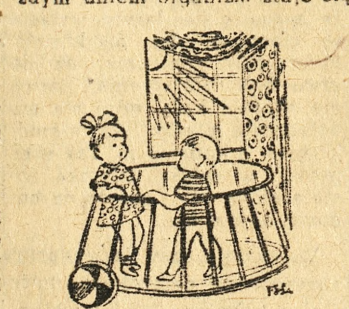
Co to jest życie? Jest to okres rozwoju organizmu od chwili jego urodzenia się aż do śmierci, zależny od przemiany materii zachodzącej na skutek odżywiania się i wydzielania. Jest to proces samoczynny, właściwy białku, bez którego nie ma życia. Starość jest ostatnią fazą rozwoju życiowego, poprzedzającą fizjologiczną śmierć. Ścinanie się zaś białka jest procesem starzenia się, które zachodzi samo przez się.

Czy żywy organizm musi umrzeć? Niestety, śmierć jest nieuchronnym końcem wyższych, wielokomórkowych organizmów.

Lecz nasuwa się tu drugie pytanie: Czy nie można by starości i śmierci odsunąć, przedłużyć życia? Czy nie umiera my przed czasem? Zdarzają się bowiem wypadki życia do 150 lat przy jednoczesnym zach-

waniu czerstwości, pamięci, a nawet pewnej zdolności do pracy. I ci długowieczni nawet zmarli nie na skutek fizjologicznej starości, powolnego obumierania organizmu, lecz na skutek choroby.

Większość ludzi jednak umiera w wieku 70—80 lat, a nawet wcześniej. Pojęcie starości jest bardzo różne. Z każdym dniem organizm staje się



starszym, starość przychodzi niespostrzeżenie i ma swoją własną historię rozwoju. Ale czy starzenie się może być przyspieszone, albo opóźnione pod wpływem różnych zewnętrznych czynników? Warto by przeto poznać zależność indywidualnego życia od warunków zewnętrznego otoczenia.

Co jest przyczyną zmian starości i w czym się one przejawiają? Najbardziej charakterystyczną cechą starości jest wzmocniony rozwój tkanek łącznych i w rezultacie tego — skleroza, zwapnienie naczyń krwionośnych.

Dużą rolę w przedwczesnej starości i śmierci grają przy-

czyny społeczne, warunki życia społecznego. W ustroju kapitalistycznym, na skutek ciężkiego bytowania i wyzysku, ludzie pracujący starzeją się szczególnie szybko, a wojny imperialistyczne niosą śmierć milionom istot.

Tylko w ustroju socjalistycznym ludzie pracy mają zapewnione warunki, usuwające przyczyny przyspieszające śmierć. Trąska o człowieka zaczyna się właściwie jeszcze przed jego urodzeniem się — przez otoczenie opieką matki. Następnie bezpłatna pomoc lekarska, kultura fizyczna i sport, ochrona pracy, nowoczesne sanatoria — wszystko to służy interesom ochrony zdrowia człowieka jego sił i ochrony przed przedwczesną starością. Możliwość odpoczynku i wczasów, rozrywek i zabawy — okazja do śmiechu i radości, a dobry śmiech i radość — także niemiernie ważne warunki wzmocnienia zdrowia człowieka.

Statystyki Związku Radzieckiego wykazują, że tam właśnie przedłużenie życia ludzkiego osiągnęło najwyższą liczbę. Reklamą długiego i szczęśliwego życia jest tam Konstytucja Stalinowska, troska Partii i samego Stalina, które gwarantują rozwój radzieckiej nauki i kultury, a tym samym zapewniają radość życia. (IR)

(Z artykułu O. B. Lepieszczyńskiej, członka Akademii Medycznej ZSRR, laureatki Nagrody Stalinowskiej).

WYŚWIETLANE WYKŁADY

Kilka lat temu, w jednym z prowincjonalnych miasteczek, do kierownika miejscowej szkoły podstawowej przyszyły dwie starsze już kobiety, matki dzieci uczęszczających do tej szkoły. Przyszyły, by dowiedzieć się, jak to właściwie jest z tym wyświetlaniem filmów w szkole, bo za ich czasów nikt o czymś podobnym nie słyszał, żeby ze szkoły robić kino, i czy to dobrze, że dzieci ich zamiast się uczyć, oglądają filmy.

Nie dziwny się zbytnio. Bo co mogły one oglądać na ekranach w latach międzywojennego dwudziestolecia? Tragedie uczuciowe, a nieszczęśliwie zakochanych modystek, blichtr życia Ordynatów Michorowskich, rewolwerowe historie kowbojskie i płaskie komedijki z podkaszanyimi girłaskami. W tym repertuarze ginęły nieliczne wartościowe filmy. A co pozostawało dla dzieci? Chyba Tarzan czy Pat i Patachon, a i one nie dawały dzieciom nic prócz rozrywki i niespokojnych snów nocami. Nie było celem tych filmów zbliżać młodocianego widza do życia i ludzi, sensacja i niezdrówy kult przygód zastępowały w nich prawdę o świecie i jego tajemnicach.

Od lat, kiedy rodzice dzieśszych uczniów szkolnych chodzili na takie filmy, zmieniło się bardzo wiele, zmienia się repertuary naszych kin. Nowy film, mówiący o smutkach i radościach zwykłego człowieka pracy, o bohaterstwie ludzi tworzących nową

epokę — znalazł nowego, innego widza. Ale pojęcia zmieniają się o wiele wolniej. Dla niektórych ludzi film — to tylko rozrywka. I stąd tu i ówdzie jeszcze zdezorientowanie starszego pokolenia: film w szkole?

A tak. Ale jaki film? Zapytajmy syna, który po powrocie ze szkoły, z wypiekami na twarzy opowiada mamusi co widział. Widział, jak pracuje serce człowieka, jak wydobywa się węgiel spod ziemi jak żyją paprocie, mchy i kwiaty. To, o czym słyszał na lekcji od nauczyciela, uzupełnił kilkunastominutowy seans lepiej niż tysiące rycin. Wiedomości teoretyczne przez konkretne, praktyczne zobrazowanie na ekranie stały się bliższe, bardziej zrozumiałe i co również jest rzeczą ważną — dużo pozostaną jemu w pamięci.

Film oświatowy wszedł już na stałe do szkolnych programów nauczania, i jak twierdzą sami nauczyciele i rodzice, daje usługi nieocenione. Tematyka tych filmów dostosowana jest do poszczególnych przedmiotów i klas. I tak program tematyczny na listopad br. przewiduje dla klasy pierwszej filmy zapoznające dzieci z najbliższymi ich otoczeniem (np. film pt. „Jaskółka”). W klasie drugiej dzieci oglądają filmy, mówiące o współpracy z ludźmi dorosłymi („Halinka w hucie szkła”, „W fabryce”). Dla klas III i IV przewidziane są m. in. filmy obrazujące życie roślin i zwierząt, dla V — pracę przemysłową, dla VII — działanie przewodu pokarmowego itd. itd.

Jak widzimy — wachlarz tematyczny jest szeroki, sięgający w klasie XI aż do podstawowych zjawisk z dziedziny astronomii.

Jak powstają takie filmy? Nakręcenie filmu oświatowego nie jest sprawą ani prostą, ani łatwą. Gdybyśmy urządzili wybieczkę do ośrodka produkcyj-

opisu w formie rysunku. Tyle, że rysunek ten nie jest martwy. Wykonanie go — to znów żmudna, drobiazgowa praca całego sztabu rysowników. Celuloidowe arkusze pokrywają się dziesiątkami rysunków, na oko takich samych, lecz w rzeczywistości różniących się drobnymi szczegółami, które, prze-



Scena z filmu oświatowego, przeznaczonego dla klasy II szkoły podstawowej. Film ten nosi tytuł „W fabryce” i nakręcony został według oryginalnego pomysłu M. Reszczyńskiej przez M. Metraszkę. Realizacja jego jest dziełem młodego filmowca polskiego — J. Nasfetera. (Zdjęcia reprodukowane z tyg. „Film”)

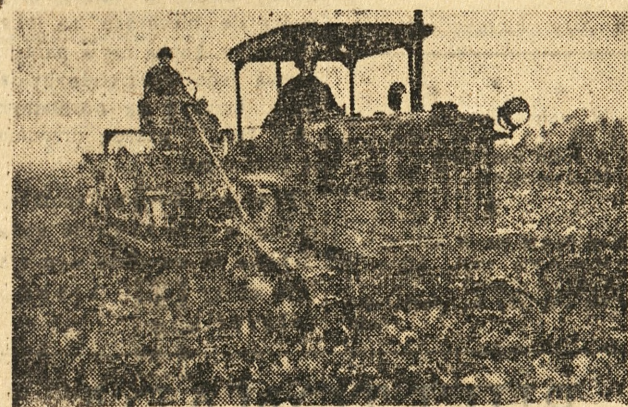
niego filmów biologicznych w Zyrardowie, odnieśliśmy wrażenie, że jesteśmy nie w wytwórni filmowej, lecz w stacji doświadczalnej. Kilkuhektarowy obszar zajmują rozmaite akwarie, terraria, cieplarnie, tajemnicze piekarnie i zagajniki. Żyją tutaj koniki polne i grabarze, jaszczurki i węże, ryby i ślimaki, słowem — cały świat zwierząt, ni by w ogrodzie zoologicznym o małym formacie. Z tymi aktorami sprawa nie jest łatwa. Ile cierpliwości ze strony operatora wymaga nakręcenie jednej krótkiej sceny, ile trzeba chytrości, by taki aktor zechciał łaskawie wyjść z norki i odegrać przed obiektywem przypisaną mu rolę.

Ale nie wszystko, co dotyczy wiedzy o świecie, można sfilmować. W wielu wypadkach film oświatowy ucieka się do rysunków. Na przykład procesy zachodzące w organizmach zwierzęcych, czy roślinnych (praca serca, rozwój tkanki) działanie prądu elektrycznego czy budowa atomu — wymagają bliższego, przejrzystego

niesione na taśmę filmową, dają widzowi złudzenie ruchu. Polskie filmy oświatowe cieszą się dobrą opinią. Powstała ona w wyniku starannego opracowania i interesującego, acz pozbawionego efekciarstwa, podejścia do tematu. Niejednokrotnie naukową treść filmu uzupełnia się wątkiem fabularnym, który ją pozwala lepiej zrozumieć uczniowi w szkole. Takim jest np. film „W fabryce”, gdzie rolę aktorów grają same dzieci — uczniowie jednej z podstawowych szkół warszawskich.

Rok ubiegły był dla Wytwórni Filmów Oświatowych do pewnego stopnia rokiem przełomowym. Filmy, które obecnie nakręcamy, będą nie tylko ściśle związane z programem szkolnym, lecz również z zadaniami planu 6-letniego. Będą one uczyć i mobilizować. Liczba 40 tysięcy kopii filmów oświatowych i instruktażowych, którymi obecnie rozporządzamy powiększy się w taki sposób o nowe wartości we pozycje.

Janusz Biniak



Kombajn buraczany, który w bieżącym roku zdał egzamin sprawności i wydajności

sprowadzonych ze Związku Radzieckiego. Obok kombajnów, samobieżnych i traktorowych, obok specjalnych kombajnów do kopania buraków, posiadamy ruchome suszarnie do zboża (po zżęciu i wymłóceniu kombajnem), sadzarki i kopaczki do ziemniaków z rusztowymi podnośnikami, kosiarki do traw i koniczyń, dołarki elektryczne, agregaty do strzyżenia owiec, wysokiej wydajności czyszczalnie nowego typu do ziarna, skaryfikatory, brony, waly i plugi ławkowe, specjalne traktory o szerokich gąsienicach do orki pod plantację wikliny, ciągniki do kopaczek o wąskich gąsienicach typu KDP-35, specjalne siewniki traktorowe, opryskiwacze, maszyny do sadzenia drzew w lesie, traktory ogrodnicze, maszyny melioracyjne, leśne pily elektryczne lub o napędzie motorowym, kombajny do zbierania i młócenia lnu...

Ileż czasu, pracy i rąk ludzkich potrzeba było ongiś, aby wydręnować kawał pola. Ileż zużyto narzędzi do kopania rowków melioracyjnych. Ileż

ba by kosić ten obszar przez kilka dni. Wszystko razem sprowadza się do olbrzymiego obniżenia kosztów produkcji i zaoszczędzenia sił i rąk ludzkich, które mogą być zużyte na innych odcinkach naszego gospodarstwa narodowego, a w szczególności w rosnącym przemyśle. Dlatego przechodzimy coraz bardziej na mechanizację prac rolnych. Dlatego rolnictwo nasze otrzymało do 1955 roku obok już posiadanych 61 tysięcy traktorów, 12 tysięcy snopowiazałek, 5700 kopaczek, 5330 sadzarek, 5350 kosiarek, 2575 młocarni i 1800 kombajnów zbożowych. O rozwoju mechanizacji i jej skutkach dla rolnictwa świadczy, że w dawnej Rosji, w 1850 roku maszyny wykonywały zaledwie 6% ogólnej pracy; w Związku Radzieckim w 1930 roku objęły już 53%, a w 1960 osiągnęły 96% pracy na roli. W tymże roku siła pociągowa koni na spadnie do 1%, a udział rąk ludzkich wyniesie zaledwie 3%, ograniczając się do niezbędnych czynności przy obsłudze maszyn.

Mechanizacja i elektryfikacja wsi, to nie tylko wyzwolenie i wyzyskanie potencjalnych sił ludzkich, to nie tylko uczynienie pracy robotnika rolnego lżejszą, wygodniejszą i wydajniejszą, to oznacza również



Zdjęcie z oświatowego filmu „Kormorany”, nakręconego przez Wł. Puchalskiego i L. Chrapkę

W 42 numerze „Nowego Świata” ukazał się artykuł dr. K. Kapitańczyka pt. „Od ula do cukrowni”, w którym autor podał ciekawe szczegóły dotyczące życia pszczoły. Na marginesie zawartych w nim uwag pisze też mgr Jerzy Woyke, asystent Uniwersytetu Poznańskiego:

Matka pszczoła składa dwa rodzaje jajek: zapłodnione i niezapłodnione. W normalnych warunkach z jajek niezapłodnionych rozwijają się samce, a więc trutnie. Z jajek zapłodnionych rozwijają się samice, a więc pszczoły robocze i matki. O takim lub innym rozwoju decyduje jakość pokarmu, który otrzymują pszczoły w okresie larwalnym. Pszczoły robocze przez pierwsze trzy dni karmione są mleczkiem zwanym także pokarmem królewskim. Przez pozostałe dni okresu larwalnego, karmione są mieszaniną miodu z pyłkiem, jak to autor (dr Kapitańczyk) nazywa „chlebem”. Widzimy więc, że larwy pszczoły nie przez cały czas karmione są „chlebem”, ale przez pierwsze dni swego życia również „mlekiem”.

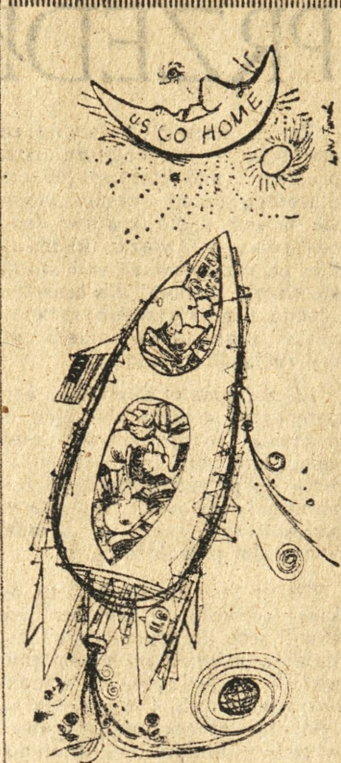
Zobaczmy jednak jak karmiona jest larwa przeznaczona w przyszłości na matkę. Otóż jajko przeznaczone na taką larwę, albo od razu umieszczone jest w specjalnej komórce zwanej matecznikiem, albo w nagłym wypadku, np. straty sta-

rej matki, pszczoły wybierają kilka larw z komórek pszczelich i komórki te przerabiają na mateczniki. Otóż okazuje się, że pszczoły wybiorą zawsze takie larwy, które dotychczas karmione były jedynie mleczkiem. Jest ono bardzo pożywne i według Planity składa się z 53,38% z ciał białkowych, 18,09% — cukru i 8,38% — tłuszczu. Pszczoły nie karmia tych larw nektarem, ale w dalszym ciągu mleczkiem. Skład jego zresztą może się różnić o parę procent od wyżej podanego. Mleczko to jest tak odżywcze, że waga ciała larwy wzrasta w ciągu 5 dni 500-krotnie. Przez cały ten czas, aż do czwartego zżuwienia, larwa nie wydalą kału, gdyż nie ma połączenia między jeltem środkowym a końcowym. Tak więc prawie w całości mleczko zostaje strawione i zużyte na budowę organizmu.

W okresie, gdy larwy przeznaczone na pszczoły-robotnice nie są karmione już mleczkiem pszczoły-karmicielki dają larwom białko w postaci rozrzuconych ziaren pyłku zmieszanych z miodem. Larwa przeznaczona na matkę nie dostaje ani mieszaniny, ani nektaru, lecz przez cały czas mleczko. W stadium poczwarki pszczoły nie przyjmują żadnych pokarmów.

W końcu o zawartości witaminy E w miodzie.

Hill i Burdett wykonali ciekawe doświadczenie. Samice szczytowo rozdzielił na dwie grupy. Jednej — podawano mleczko z mateczników, drugiej — podawano czterokrotnie większą ilość pyłku i miodu. Tylko pierwsza grupa wydała zdrowe młode. Wniosek stąd: że ilość witaminy, potrzebna do uchronienia matki od sterility, znajduje się nie w nektarze, lub w powstałym z niego miodzie, ale właśnie w mleczku. Potwierdza to badania Bomskova i innych. Niewątpliwie i w miodzie znajduje się witamina E — nie należy jej jednak „wysuszać” zbyt wielkiego znaczenia.



Amerkańska ekspedycja na księżyc

Janusz Ksiński

To i owo...

Po dojeździe w Anglii do władzy konserwatystów okazało się, że poglądy ich sprzed kilku lat nie uległy żadnej zmianie. Musiały być widocznie do brzo zakonserwowane.

— Ukarać się dzisiaj w prasie artyści, że mimo głodu mieszkaniowego nie się u nas nie buduje — melduje sekretarz burmistrzowi jednego z miast Niemiec Zachodnich.

— Jak to nie — oburza się burmistrz — zbudowaliśmy przecież w ciągu ostatnich lat koszar na 2 tys. osób.

— Co należy robić, aby wygrać wojnę — pyta się gen. Ridgway jednego ze swoich dowódców, byłego generała hitlerowskiego.

— Co robić, aby wygrać — odpowiada ten po głębokim namyśle — tego nie wiem, wiem natomiast, co należy robić, aby ją przegrać.

Król i malarz

Znany malarz francuski Karol Vernet, twórca scen batalistycznych, miał przyjaciela młodego oficera, którego marzeniem było otrzymać odznaczenie Legii Honorowej. Mistrz wymalował portret przyjaciela umieszczając mu na piersi upragnione odznaczenie. Oficer powiedział, że niestety jest to tylko na obrazie, a w rzeczywistości jest nieosądzony.

Vernet poprosił przyjaciela, aby się nie martwił i że on to wszystko załatwi i obraz został umieszczony na wystawie. Król Ludwik Filip zwiędział, jak zachwycił się specjalnie tym portretem.

— Niestety — rzekł Vernet — będę musiał go zmazać, ponieważ ten oficer nie posiada Legii Honorowej.

— Ależ to głupstwo — odrzekł król — szkoda by niszczyć tak piękne arcydzieło. Nadamy mu Legię Honorową.

I w ten sposób porucznik otrzymał dzięki przyjacielowi upragnione odznaczenie. (ja)

W PORCIE ZACHODNIO-EUROPEJSKIM



— Niestety, nie będziecie mogli wyładować statku. Nasz dokerzy strajkuje.

— Nie mamy nic do wyładowania. Nasz dokerzy również strajkuje.

MIK

Typy z bocznego toru PAWEŁ I GAWEŁ

Pawła i Gawła poznacie łatwo. Przychodzą do kina już po dodatku. Bo to ich nie interesuje. Oni przychodzą na film. Śmiało i odważnie włączają się w wąską przestrzeń między kolanami siedzących a ścianą oparcia następnego rzędu. Paweł ma dobroduszy zwyczaj nadeptywania mijanych widzów, a Gaweł przypadkiem zaważając lokiem o kapelusze dam. Jeśli ktoś z poszkodowanych nie wiadomo z jakich przyczyn bezczelnie zrobi im z tego powodu awanturę, Paweł z poczuciem godności widza filmowego, odpowiedzie grzecznie i delikatnie:

— Jak ci się cholero źle siedzi, to wylaz.

Dopchawszy się do swego miejsca, siadają na krzesła w taki sposób, żeby dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że usiedli. Wprawdzie film się już zaczął, Gaweł jednak przypomina sobie nagle, że jako dżentelmen powinien zdjąć kapelusz i płaszcz, co też niebawem czyni, cierpliwie znosząc przy tym głupie uwagi kilku widzów z tyłu.

Paweł ma poważne kłopoty z widocznością. Ażeby radykalnie usunąć przeszkodę, delikatnie uderza pięścią w łysinę się-

dzącego z przodu pana Kiedy łysina odwraca się i zaczyna coś mówić. Gaweł zisza ją kategorycznie:

— Cicho! W kinie się nie rozmawia. Na wiecu pan jest czy co?

Ponieważ Paweł film ten już raz oglądał na poranku, postanawia niektóre jego fragmenty poprzedzić własnym komentarzem. Rzeczowe jego uwagi nie wiadomo dlaczego spotykają się z niezrozumieniem a nawet wrogością ze strony mało uświadomionej części widzów.

— Co za chamy! — myśli.

Gaweł. — Człowiek zapłaci bilet wstępu, a takie elementy nie pozwalają spokojnie porozmawiać o filmie.

Nie tylko nie pozwalają rozmawiać, ale nawet protestują, kiedy Gaweł wyciąga z kieszeni torebkę z cukierkami miętowymi. Ze niby papierki szeszelczą. — Też dziwne pretensje! — myśli Paweł. — Nie wiedzą, że żyjemy w dobie filmu dźwiękowego, czy co?

Kiedy w pewnej chwili następuje zerwanie się taśmy filmowej, Paweł i Gaweł dając dowód, jak bardzo zależy im na sztuce kinematograficznej, zaczynają momentalnie zgodnym rytmem uderzać obcasami o podłogę. Tupanie nie dąboby pożądanego efektu, gdyby nie dołączyć do niego parominutowych fragmentów gwizdu artystycznego.

Na ekranie znów światło. Paweł i Gaweł przypominają sobie jednak, że właściwie film jest słaby i że najlepiej będzie, jeśli wjdą przed jego zakończeniem. Po drodze przetrąca kostki trzem panom, zrzuca okulary damie w futrze, przewrócą się „niechcący” na jakąś studentkę, kopną czyjś parasol, nazwą jego właściciela bydlakiem, krzykną na odchodnym „Ale lipa” i trzasną drzwiami wyjściowymi.

Pawłów i Gawłów spotkanie często w kinach. Są to nader ciekawe na szczęście wymierające okazy naszej kinematografii.

TAKI LOS

— „Byle mi tylko pensja szła, pensja normalna i ponętna, zadowolony byłbym z dnia, bo reszta dla mnie obojętna.”

Gdy ludzie męczą się i tworzą,

ja na to patrzę, owszem, chętnie.

Bo jeśli chcą, niech sobie orzą,

spoglądam na to obojętnie...

Miasta się wznoszą, gmachy wznoszą.

Stare już wszystko usunęło.

Niech sobie zwożą, grabią, koszą —

dla mnie to rzecz obojętna...

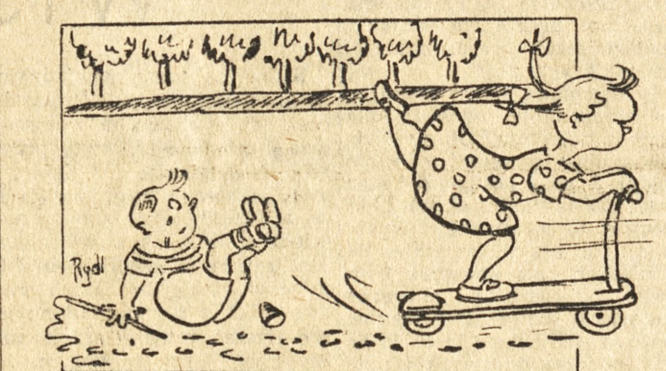
Tak sobie żyją poniekąd, życiem robaka lub pędraka.

Lecz tak nie można żyć już dłużej

nadchodzi kres

OBOJĘTNIKA.

Eska



— Naturalnie, znowu kobieta przy kierownicy!

Witold Degler

Halo! taksówka!

Gdy tramwaju mała kraksa, spiesz się — „halo! taksza”

Leje deszcz lub wracasz w nocy — chętnie wzywaj jej pomocy.

Ale wielka szkoda — o, fel — jeżeli się trafi zsofer,

co na żaden w świecie sposób nie chce zabrać (aż) trzech osób — albo furii wprost jest bliski,

gdy ktoś taszczy dwie walizki!

A to wszystko nie z tej racji, że mu auto nie wytrzyma — ale jazda (w tym przyczyna) nie wytrzyma... kalkulacji!

Ma zarobku za to więcej, gdy pasażer jest z prowincji:

tacy zawsze „bulić” mogą, jadąc nieco dłuższą drogą...

Zdarza się też zsofer czasem, co nie zgadza się na trasę —

bo mu żal tak „tłuc” samochód po manowcach peryferii!

Ważne — benzyny mu nie starczy, więc — motor miał walczyć,

charchy,

lub — wcale nie zaskakuje, lub — opona jest przebita

i taksówkarz oponuje, że nie może. Nie i kwita!

Lecz kurs zmienić — zobaczycie: wóz zaskoczy i... właściciel!

Nie do wszystkich te wymówki, nie jednakże są taksówki —

tak przypuszczać śmiało tu ktoś by? Lecz robiący z gościem fałszy.

„kalkulując” kursy taksy, wzięć kuts społecznej służby! Aż nauczą się z was tacy, co zbyt cenią się w swej pracy,

frontem stać do ludzi... placy!

* * *

— W moim zawodzie człowiek nigdy nie jest pewien jutra.

— A czym pan jest?

— Meteorologiem.

* * *

Rzecz dzieje się w aptece.

— Nie mogę spać. Może mi pan da jakiś proszek.

— Na sen czy na pluskwę? (m)

* * *

Przy niektórych biurach i przedsiębiorstwach istnieją bufety PSS.

Bufet jest to instytucja, złożona z artykułów spożywczych oraz osobą, artykuły takowe sprzedającą. Całość ma służyć tak zwanej masie konsumuentów czyli ludziom, którzy przychodzą tam posilić mdłe ciało.

Normalnie sprzedaje się w nim bułeczki z masłem, herbatę, cukierki, papierosy itd., ale po upływie oficjalnych godzin urzędowania rozpoczyna się nieoficjalne godziny wypisywania nader zawitych druków. Przypatrzmy się, jak owa „niezbędna sprawozdawczość” wygląda.

Na czele kroczy dumnie formularz żółtej barwy pt. „Zestawienie oddanych dow. z dn...” zawierający spis (drukowany) formularzy (drukowanych), które codziennie musi wypełniać meczenica z bufetu. Pozycji tych jest tylko 19. Skromnie. Oto tajemnicze nozwy tychże:

1. Obr. got. i kred.
2. Rap. utar. z dn.
3. Kwit. N. B. P.
4. Ewid. P. M. T.
5. Dow. kred. na dania
6. Rap. zdania got. przez keln.
7. Pap. magazynu
8. Mag. przyjmie
9. Mag. wyda
10. Zest. sur. wyd. z mag. . . .
11. Rap. kuchni
12. Rap. buf.
13. Reman. napoi buf. i baru . .
14. Rozł. got. inkas.
15. Jakiłosp.
16. Za rozm. tel.
17. Ułaga dzien. sklepu
18. Imien. spis pos. wewn. . . .
19. Dow. przesyłk.

Dla sprawiedliwości trzeba zaznaczyć, że bufetowa wypełnia co-

BUFETONADA

dziennie jedynie 10 z wymienionych tu dowodów na formularzach od formatu gazetowego do wielkości kartki pocztowej i od koloru żółtego do białego-żółtego włącznie. Słowem — fiolka można dostać.

PSS-owi inicjatorowi tej pożytecznej (dla satyryka) sprawozdawczości radzimy zorganizować specjalne kursy wyższej biurokracji dla tych, którzy muszą codziennie wypełniać owych 19 „pozycji”. Może przy okazji wymyśla nowe.

Bowiem uważamy, że jak na bufet — jest ich trochę za mało. Przydałoby się jeszcze tak z 19 nowych formularzy. Nazwy dla nich się znajdują. Wóć czas obsługa bufetu nie będzie zajmować się jakąś tam sprzedażą bułek z masłem, lecz twórczym wypisywaniem formularzy przez bite 12 godzin na dobę.

NONPAREL.



— Uważam to za nietakt zamykać nas z kryminalistą!

Czy wiecie, że...

— Bez pożywienia mogą żyć niektóre stworzenia czasami całe lata. Tak więc kleszcz wytrzymuje bez żywności 6 lat, pluskwa 7 lat, żółw i wielkie żmije 2 lata, pchła 125 dni, lecz kret nie dłużej, niż 12 godzin. (Popowski: Natychmiast badacze. Wyd. Czytelnik X 1950).

KSIĄZKI, KTÓRE WARTO POZNAĆ

„POCZĄTEK OPowieści”

Dwa lata temu zapoczątkowaliśmy budowę największej twierdzy naszego planu 6-letniego — Nowej Huty. Na podkrakowskich polach zjawili się wówczas pierwsi robotnicy i inżynierowie, by teren przyszłego miasta i kolosa przemysłowego połączyć szeroką szosą i traktem żelaznym z prastarym Krakowem. Dziś tam, gdzie rozprzestrzeniły się szeroko zagony pól — piętrzą się już szeregi nowocześniejszych bloków mieszkalnych, gmachy różnych instytucji społecznych, tętni życie gwarne i rojne — rośnie socjalistyczny gigant.

O początkach budowy Nowej Huty, o tym jak rodziła się myśl jej powstania, jak myślała przeobrażała się w realny czyn i jak razem z wielką budową rośnie w Nowej Hucie nowy człowiek — mówi nam piękna książka znanego literata i publicysty Mariana Brandysa — „Początek Opowieści”.

Nie jest to ani powieść, ani reportaż — jest to według słów autora początek opowieści o rzeczach wielkich, jest to przekazanie wrażeń, jakich zżni autor w czasie paromiesięcznego pobytu w Nowej Hucie. Książka Brandysa to jak gdyby barwny opis najwcześniejszych dzieł wielkiej budowy.

Czytelnik dowiaduje się więc z jaką troską władza ludowa przystępowała do realizacji powziętej myśli, jak naukowcy i technicy radzili, jak polscy współpracownicy ze sobą, by znaleźć odpowiedniejsze miejsce pod budowę Nowej Huty, z jaką starannością opracowywano plany i dokumentację techniczną przyszłego giganta i ile trzeba było pokonać trudności, by wreszcie rozpocząć wznoszenie murów przyszłego miasta.

Po tym interesującym wstępie autor wprowadza czytelnika na teren budowy, ukazując na nim coraz to inne sylwetki

bohaterów swego opowiadania — ludzi prawdziwych i żywych, ze wszystkimi ich zaletami i wadami, ludzi z najrozmaitszych zakątków kraju, entuzjastów i sceptyków, młodych i starych, charaktery niezłomne i podłe. Najciekawsze jest jednak to, że razem z postępującą budową zmieniają się w Nowej Hucie sami jej twórcy. Zmienia się nieplimienność i wlecznie opryskliwy murarz Malaga w człowieka zgłodniałego wiedzy i wielkiego przyjaciela młodzieży; zmienia się niezadowolona ze swego losu żona aktywisty młodzieżowego — Marysia Kulbarowa w pełną zapału społecznikę i zmienia się nieokrzesany wyrostek wiejski — Jas Kubik, szkolący się na hutniku. Rośnie i zmienia się tysiącna rzesza młodzieży — przyszłych mieszkańców i robotników Nowej Huty.

Jak plewy, odwołane od ziarna, odpadają z życia twórczego się miasta jednostki małe i marne, złe i wrogie — dywersant Nowak i pozostający pod jego wpływem młody Tyracki, odprada krętacz i biurokrata — Starkiewicz. Ale takich właśnie jest na szczęście niewiele.

Nie brak w „Początkach Opowieści” scen okraszonych zdrowym, jedynym humorem, młodzieńczą swawolą, scen na pozór tylko zbędnych, a w istocie charakterystycznych po nianiu różnych bohaterów, ujawniających ich rzeczywiste cechy i dążenia. Książka Brandysa bawi i uczy; z kart jej promieniały radostny optymizm i wiara w człowieka, przemieniającego się w warunkach wielkiej twórczej pracy w światłomą i wartościową pod każdym względem jednostkę i dlatego trudno oderwać się od planego wspaniałym językiem — „Początku Opowieści”. Z pewnym żalem odkłada się przeczytaną książkę, a żal ten wyraża się w zdaniu — szkoda, że to już koniec. T. P.